Nro 21.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 7 października 1847. Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 23 września 1847.

Stroje damskie. Całkowite stroje od wyjścia: Suknia z materii popielatej w duże desenie, trzy razy szeroką czarną korunką obszyta; stanik gładki, bardzo wysoko zachodzący, okrągło kończasty, z korunkowemi wyłogami; ryżowy kapelusz, dwa razy błękitną wstążką wkoło obszyty; biały kitajkowy płaszczyk, mocno przystający do figury, obszyty wkoło frędzlą i krepiną.

Różowa bareżowa suknia, obszyta dwa razy ukośną szlarką, różowym jedwabiem dziergana; stanik wycięty, trochę marszczony w pasie; rękawy krótkie; muszlinowa haftowana pelerynka; muszlinowy płaszczyk szydełkiem haftowany; biały łyczkowy kapelusz, zieloną kitajką podszyty i zielonem piórem ubrany.

Suknia krojem redyngocikowym z włoskiej kitajki; stanik gładki, wysoko zachodzący, trochę otwarty i z korunkowemi żabotami; rękawy prosto krajane, z jednym tylko szwem; spodnica gładka, w przodzie łańcuszkowym sposobem haftowana. Biały krepowy kapelusz, piwonią z liśćmi ubrany; rańtuch z rękawami.

Stroje balowe: Różowa kitajkowa suknia, której spodnica całkiem pokryta dwoma szerokiemi falbanami z czarnej korunki; stanik gładki, mocno wycięty i kończasty; korunkowa podwójna berta, z przodu fontaziami z różowej wstążki przypięta, na głowie ubranie w kształcie zawoju z złotej i jedwabnej gazy.

Suknia z liliowej krepy, po obu stronach przedniego brytu krepą w rurki okładaną obszyta; stanik gładki, wycięty i kończasty; na głowie ubranie korunkowe, spadające z lewej strony aż na ramię a z drugiej bukietem róż kończące się.

Biała tarlatanowa suknia, przystrojona trzema szlarkami obszywanemi słomkowemi łańcuszkami; stanik gładki i wycięty; na głowie korona z poziomek wkoło warkocza.

Biała muszlinowa suknia, z szeroką w dole zakładką; stanik *à la grecque,* marszczony w górze, na muszlinowym haftowanym kołnierzyku; rękawy długie, wąskie w górze, bardzo szerokie w dole; długa, z różowej wstążki przepaska; korunkowe z różami na głowie ubranie.

Rycina przedstawia: Bareżową suknią słomianego koloru, obszytą siedmioma ukośnemi falbanami; stanik wysoko na ramiona zachodzący, otwarty z przodu przez całą swą długość, marszczony na ramionach i w pasie; rękawy półdługie, trochę szerokie, trzy razy szlarką obszyte; przepaska ze wstążki na sprzączkę zapięta; muszlinowy haftowany kołnierzyk; spodnie rękawy trzy razy korunką obszyte; czarny korunkowy rańtuch; biały łyczkowy kapelusz, ubrany tiulem pod spodem a na wierzchu kwiatami. Redyngocik z popielatej kitajki, ubrany w przodzie rzędem jedwabnych guzików; stanik gładki, bardzo wysoko zachodzący, zapięty na guziki przez całą swą długość; peleryna z tejsamej co suknia kitajki, obszyta wkoło raz szlarką w zęby wycinaną, a dwa razy szlarką rurkowaną; różowa jedwabna kapotka, kwiatami ubrana. Haftowany muszlinowy czepeczek, z bardzo małem denkiem i błękitnemi wstążkami ubrany. Korunkowy, z jednego kawałka czepeczek, marszczony po bokach i różami przystrojony. Biały korunkowy czepeczek, trzema rzędami wstążek i różami ubrany.

NOWSZE POWIEŚCI POLSKIE.

5.

„LISTOPAD."

Romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku. Przez autora Pamiątek (Henryka Rzewuskiego) 1846 Petersburg.

(Dokończenie.)

Autor na wszelką naukę i umiejętności zdaje się patrzeć jako na oderwanie i przygodniość, ztąd też poszły i rozrzucone w przypiskach wnioski autora.

Autor mówi: »Jest jeden zarzut, z którego filozofia oczyścić się nie może. A ten jest, iż ona nigdy nie objawia się w społeczeństwie, pełnem tej dziewiczej czerstwości, gdzie cnota jest obyczajem. Przebieżmy dzieje świata, a przekonamy się, że systemata filozoficzne mnożą się w społecznościach, które już utraciły wszelką ważność polityczną.« Jedną z głównych przyczyn i celów filozofii jest szukanie ratunku. Gdzieby cnota władała, tam istotnie nie myślanoby o teoriach cnoty, korzyściach, środkach jej sprowadzenia między śmiertelnych i t. p. Sam autor w swych przykładach wyznaje, że upadek jest źródłem nie skutkiem tworzenia się filozofii.

»Ci, którzy wiele rozumieją« mówi autor »są właśnie ci, którzy jak najmniej działać umieją. Niech mi okażą choć jeden naród potężny, w którymby filozofowie ważną rolę odgrywali. Cześć dla poetów, a obojętność dla filozofów, jest cechą narodów silnych.« Czy stan obecny lub dotąd były, społeczności za szczyt już szczęścia uważa autor?

Wiara autora w bierność, upodobanie w niej, stała się też zasadą, jak rzekliśmy i jego wejrzeń społecznych. Autor np. szczególne okazuje spółczucie, upodobanie do stanu jednostek, które mają godność gotową w zasłudze przodków. Uczy owszem, iż nawet obowiązkiem jest upodobanie to. »Zasługi ojca tak spadają na syna, jak jego majątek; i majątek i zasługi ojca mogą być strwonione przez syna, wszakże on zawsze jest ich spadkobiercą.« Przekonaniem autora kierują, jak sam wyznaje, już wzgląd racionalny na rzeczy, już r e l i g i j n y; jeden i drugi, wyznajemy, nic nas nie uczy o sławie przez spadkobierstwo.

Ukształcenie się i wyobrażenie oddzielnych rodzin w rozwiciu społeczeństw, które się rozwijają z pewnego względu roślinnie, jest na swoje skale także roślinnem. I rodzina, jako roślina, ma czas swego poczęcia, czas wzrostu, czas kwiatu i t. p. Czas jednostki dającej sławę w rodzinie, jest czasem jej kwiatu. Jednostki przychodzące do gotowej sławy, nie przynoszą już, można mniemać, misii jej podniesienia. Tak mówi prawo podobieństw, wzgląd racionalny. *). Wzgląd ten nie daje prawa, widzimy, następcom sławy do pomiatania jednostkami innemi, może właśnie na kolej swą przychodzącemi. Wzgląd ten nakazuje tem więcej ostrożność i baczność następcom sławy. Religia tem mniej nas naucza o sławie spadkowej. Religia uczy nas owszem o ojcostwach, wpływach moralnych, i ostrzega, iż nie wywiera żadnych mechaniczność pierwiastku. (»Nie

---

*) W historii narodów widzimy, iż gdy raz przebył który naród zenit swej potęgi i sławy, żywot jego odtąd miał się ku upadkowi; wiądł on i usychał jak roślina. Wprawdzie zdarzało się, iż narody upadające przypomniawszy sobie dawniejszą świetność i wielkość, tem przypomnieniem jako ideałem, który urzeczywistnieć chciano, odżyły na chwilę; zawsze jednak życie to, chociaż na pozór świetne, było tylko chwilowe; gdy szybko przeminęło, naród w tem głębszy szedł upadek. Tak samo jak z narodem, ma się i z pojedynczemi rodzinami. Jeżeli odwołują się do czynów, zasług i sławy przodków, jako do jedynego warunku, który ich stawia w pewnym stopniu i znaczeniu w towarzystwie, natenczas znak to niezawodny, że chwilę kwiatu swego przebyły, że ku upadkowi się chylą; wymagania wtedy wszelkie takowych rodzin są pasożytnej natury, krzywdzące społeczność, śród której żyją. Jeszczeć kiedy sławę przodków uważają wyłącznie niektóre rodziny jako bodźca do zrównania im w zasługach i w tym duchu żywot swój objawiają, natenczas wymagania ich do społeczeństwa dałyby się pozornie usprawiedliwić, chociaż zawsze to byłoby dowodem, że nie mają przyszłości że w życiu tych rodzin śmierć moralna jest już bliska. W składzie społeczeństwa jedynie te rodziny są najpożyteczniejsze, które albo zasługi przodków uważają za niedostateczne, więc czynami wielkiemi dobijają się jeszcze większej sławy, niż po przodkach wzięli; albo rodziny niemające wprawdzie przeszłości, lecz dążące w żywocie swym do celów, które w przyszłości mają dać im namaszczenie. Tak również i ten tylko naród niema zarodów śmierci w sobie, który na przebyty żywot nie patrzy jak na raj, na chwile najszczęśliwsze, których odtworzeniem zająć mu się wyłącznie trzeba, lecz sam wydobywa z siebie (a więc oparty na swej przeszłości i obecności) i ideał przyszłych swych dążeń, i środki do urzeczywistnienia go. A jak największym nieprzyjacielem zasłużonych w historii rodzin byłby ten, któryby wmawiał w nich, że czyny przodków są dostatecznym dla obecnego żywota ich kapitałem, że wszystko już uczynią, skoro kopiować będą czyny, położenia, system i stosunki przodków, tak również nieprzyjacielem narodu jest ten, (chociaż mimo swej własnej wiedzy), kto wracać każe narodowi do przeżytych już dawno stosunków społecznych żywota.

P. R.

zowcie sobie ojców na ziemi, albowiem jeden jest ojciec wasz, który jest w niebiesiech.« Matt. XXIII. 9.). Zasada przeciwna jednak jest jedna z najulubieńszych autora. W pismach jego najwięcej słyszymy na tema jej głosów; autor w nich zdaje się tracić pamięć jedności rodu ludzkiego. W powieści, o której mówimy, autor takich nam naprzykład, zdań i wiadomości udzielił: »Oprócz domu P..., mniej więcej wszystkie nasze domy poniżyły się przez demokracią« III. 121. — »Jeszcze z pseudoszlachectwem samolubstwo nie było zaraziło narodu« I. 113. »W większej części Europy to tylko dokazano, że arystokracia rodu pełna podań, udzielając się dla ziomków, wierna tronowi, świadoma wszystkich tajemnic historii swojego narodu, zastąpioną została przez najohydniejszą, najsamolubniejszą, najpyszniejszą arystokracią, której przedstawicielami są dorobnicy i syny dorobników.« III. 9. Autor nadto do ludzi powstających z swej pracy (dorobników) dodaje wszędzie w powieści przymiotnik »podli.«

Powiedzieliśmy, że przyczynę tych i tym podobnych wejrzeń autora jest wiara w bierność, powiemy teraz zkąd pochodzi ta wiara:

Są umysły, które na każdy przedmiot, każde zdarzenie, patrzą ze stanowiska jego stosunków i związków, ze stanowiska odległych przyczyn i ostatecznych wypadków; umysły te zbyt wynoszą swój przedmiot ze swego miejsca i czasu, i przez to mniej pojętemi od czytelników się stają. Autor Listopada w prosto przeciwnym znajduje się przypadku. Autor, jesteśmy pewni, nie wierzy, iżby przed wieków tysiącem świat nasz mógł być innym jak dzisiaj, iż będzie innym za tysiąc. Autor nie wierzy w związki, przyczyny, cele; autor patrzy na wszystko, sądzi o wszystkiem ze stanowiska chwili. Ta wiara w wszechwładność chwili, wieczystość chwili, rodzi nieufność autora do wszelkich następstw, do wszelkich skutków, do wszelkiej użyteczności sił ludzkich. Ztąd też nie przywiązuje ceny do ich uprawy. Zasady wszakże tego sądu swego stosuje autor nietylko do form wiary, do nauk, do tych lub innych klas narodu, lecz i do samego narodu. Zdaniem naszem jestto wielką wadą autora, iż lubi rozważać, rozprawiać i wróżyć o narodzie. Myśl autora jest zawsze śród chwili i w oderwaniu; bieg zaś nie jest chwilą i oderwaniem. Autor Listopada być może w sferze sztuki i już jest doskonałym historykiem, ale nie może być nigdy historiozofem.

Jako społeczeństwa narodowe wiodą i rozwijają swe życie przez życie i działanie jednostek, tak wielka społeczność ludzi, powszechna ludzkość rozwija się przez działanie i życie narodowych społeczeństw. *). Ludzkość ma pewne, ostateczne wypadki, do których dąży; do wypadków tych wiodą ją osobne narodowe społeczeństwa. Każde narodowe społeczeństwo ma pewne zadanie, ma pewne zasady moralne, religijne, obyczajowe, społeczne, z których wychodzi, a które są już w kierunku dodatnim, już wstecznym ku owym ostatecznym wypadkom. I nasza narodowa społeczność otrzymała pewne zasady, a sądzimy, że te nie są nader przeciwne owym wypadkom. W wychodzeniu też tylko z tych zasad leży ten grunt, na którym rozwinąć się może, (stosując rzecz do pismiennictwa narodowego) oryginalność i żywotność. Autor Listopada jest jeden z niewielu tych, którzy w najnowszej literaturze naszej zaczęli pomijać ten grunt. Autor przynajmniej jest takim w swych wyjściach teoretycznych. Nie życzylibyśmy naśladowania tych wyjść, lecz życzylibyśmy przeciwnie, iżby każdy ojciec nasz do syna powtarzał grunt tego, co ojciec bohatyra w texcie powieści, o której mówimy, Wojciech Strawiński do swego mawiał: »Nie włóczyłem ciebie po zagranicznych akademiach, gdzieby ciebie uczono gardzić obyczajami twojego narodu i szydzić z wiary twoich przodków. Mamy nasz własny rozum, tak rodzinny jak nasze dęby i jodły, tego się trzymajmy.«

Autor nader loicznie to czyni, iż wielbiąc bierność w zasadach wszelkich, religijnych, naukowych, społecznych i t. p.: stan moralny naszego narodu z początku wieku zeszłego do naśladowania nam podał. Bierność zasad czyni je na każdy pierwszy powiew miękkiemi, łatwo i całkiem zmiennemi. Sam autor to powtarza co chwila, iż wiek ów miał za następstwo wkrótce zupełną zmienność, iż pociągnął tysiące klęsk. Dla czegoż więc pragnie, abyśmy za wzór brali ów wiek?

Źródłem bierności autora jest, jak rzekliśmy, uwielbienie dla chwili. To zaś uwielbienie dla chwili jest następstwem w autorze jego stanowiska religij-

*) Zrozumienie i wykład tych związków jak najdalsze być muszą od chwili. Żaden z ludów ludzkości dawnej nie rozumiał zapewne swej misii, jej zwłaszcza kierunków. Że np za Sennacheryba i Babilonu misia ludu izraelskiego nie była jeszcze skończona, o tem tylko prorocy wołali, i na szczególny kierunek jej wskazywali: »Jako która poczyna, gdy się przybliża ku rodzeniu, bolejąc woła w boleściach swych, takeśmy się stali od oblicza twego panie. Poczęliśmy i jakobyśmy pracowali rodząc i porodziliśmy ducha etc. (Izaj. XXVI. 17.)«

nego. Skutek równy jestto najlepsza odpowiedź na teorią religijną autora. Autor, który co chwila nam mówi: iż wychodzi z zasad ewanielicznych, iż pragnie idących z nich cnót, cnoty te i zasady musi uważać za jakiś oderwany wyraz, który powtarza jak jenerał Kunicki pacierz, nie uznając wcale zastosowania ich w życiu praktycznem. Wszakże oprócz wołania religijnego jest potrzebne i stosowanie, a tem stosowaniem jest miłość. W tem co autor nam mówi o jednostkach ludzkich (nauce) o religii (praktyce samej), o klasach w społecznościach, a zwłaszcza o samych społecznościach narodowych i t. p., nie widzimy wcale miłości. Nam się zdaje, iż gdyby autor spotkał po drodze swej leżącego rannego Lewitę, nie chciałby być dla niego ewanielicznym Samarytanem; możeby nawet owszem lubił mu jątrzyć rany i co chwila mu, bez innej potrzeby jak prosto z upodobania, »już umrzesz, już musisz umrzeć« powtarzał.

Listopad, to utwor świetny, wśród utworów w naszem narodowem pismiennictwie pomiędzy pierwsze miejsca wchodzący, pierwsze biorący. Jestto powtórzmy raz jeszcze, odbicie wierne wieku zgasłego, znikłej rzeczywistości. Talent autora jestto, rzec można, źwierciadło. Wszakże nie przewinimy dodając lubo triwialnym wierszykiem »nie jestto źwierciadło, co wszystko zgadło.« Listopad, wierzymy nie umrze, lecz i dla imienia pisarza i pismiennictwa życzylibyśmy, iżby nam się w następnych wydaniach ukazał bez swych wejrzeń teoretycznych. *T.*

PIERWSZE PRZEDSTAWIENIE HAMLETA.

Poemat dramatyczny w czterech częściach.

CZĘŚĆ III.

Szekspir.

(Scena w mieszkaniu Szekspira w Londynie.)

Dwa miesiące upływa od ostatniej sceny Johna z Gonerilą.

SZEKSPIR *(do odchodzącego krytyka)*.

Sława powiadasz, widziałem głowy
Laurowane i ztąd nią gardzę.
Ten świat ma jedno dla wszystkich zielsko.
Atylla, który krocie niewinnych
W własnych siedzibach naszedł i wyciął,
I Plato, który świat ubogacił
Myślą wszechmocną — jedną nagrodę
Wzięli obadwaj — choć różne drogi,
Różne jak niebo od piekła cele
Przez świat ich wiodły, — patrz jedno ziele
Skroń im otacza — i wartoż pragnąć
Tego zrównania siebie ze zbójcą?....
Lecz to nie dosyć.... ale z głupiemi
Być porównanym, bo jakież głowy
Nie zdobi dzisiaj liść laurowy?
O biedna sławo! jesteś jak bękart,
Do ciebie każdy przyznać się może,
Bo zapomniano zkąd ród wywodzisz.

KRYTYK.

Jednobym tylko panu zarzucił,
Że dramat nie jest ściśle dziejowym,
Bo jak wiadomo, Hamlet po zgonie
Swojego stryja rządził na tronie.

SZEKSPIR.

Prawda — pan jesteś takim jak mało,
Ręczę, że będziesz pan historycznym,
Z takim umysłu stanem krytycznym.
Bardzo dziękuję, bardzo dziękuję,
I choć w tej chwili złe moje czuję,
Nie ręczę czyli zmienię swą sztukę,
Choć bardzo cenię pańską naukę. —
Pan nad porządkiem dziejów się trudzi,
Pan znasz traktaty, a ja znam ludzi.
Ja widzę ciała, jak się zmieniają,
Jedni padają, drudzy powstają,
Ci umierają pełni zaszczytu,
Że łzy zabrali za chwilę bytu.
Ci umierają pełni zaszczytu,
Że krew przeleli przez chwilę bytu.
Jedni chcą miłość wmówić w człowieka,
Inni nakazać — każdy przyrzeka,
Że zrobi swoje — i nie dotrzyma,
Na kartach dziejów nic więcej nie ma.

KRYTYK.

Tak.... to jest prawda.... ale nauka
Ocenia zdanie a faktów szuka.

SZEKSPIR.

Pozwólże panie, że broń odmienię,
Jakim jest faktem całe stworzenie?

KRYTYK.

Zaprawdę trudne to zagadnienie.

SZEKSPIR.

Faktem nieszczęsnym, walką drażliwą,
A dzień zaświadcza, że jest prawdziwą.
No jeśli tak jest, to znam historią,
Która jest tylko bytu przejawem,
Lecz tę rozmowę skończmy niebawem,
Paneś uczony, ja nie uczony,
Więc się rozejdźmy każdy w swe strony.

(Krytyk wychodzi kłaniając się we drzwiach).

Lampa słabo oświeca mieszkanie.

SZEKSPIR *sam (biorąc komedie Fletschera w rękę).*

To są komedie, co są komedie?

(zamyśla się, potem wybucha śmiechem)

(bierze drugą xiążkę)

To jest historia, co jest historia?

(podnosi xiążkę w górę, a głowę skłania na piersi)

Tu jest Bóg........

(kładzie jak pierwszą na stole i opiera na niej rękę)

Jeżeli są tu jakie promienie,
Niechaj przez palce w serce mi płyną;
O dzieje ludów! zmarłych kraino!
Raju niebieski i potępienie!
Otwórz się, otwórz! W twojej otchłani,
Jak w przeźroczystej wodzie strumienia,
Płyną na wieczną wzgardę wskazani,
I xiężycowe śrebrzyste cienia,
A ta przejrzystość co widzieć daje
Wszystkie postacie, żywioł czarowny,
Czem jest niechaj mi odpowiedź da!
Ta, która stwarza umarłym kraje,
To myśl....

(przerzuca kilka kart i czyta)

Wiara druidów!.... jeżeli jestem
Ze krwi celtyckiej prawnukiem barda
Co z arfą ślepy siadał pod drzewem,
I na pagórkach rozbudzał spiewem
Spiących rycerzy, w salach konch złotych!
Miło mi jeszcze zwrócić się do tych
Siwych druidów, dębów i ognisk....
Witaj jemioło dębu zielona!
Wieczny symbolu nieśmiertelności!
Noce przy pieśniach, gaje święcone
Witajcie mi! —

(przerzuca karty)

Religia Gotów — ach ileż krwi!

(przerzuca karty)

Kraje nad świętą wodą Gangesu!
Źródło prawd wielkich i matka błędów!

(przerzuca karty)

Ludy półbogów! Grecy waleczni!
Jakże was w sobie pochłonął Kronos,
Dzieci Eliosa — Zeusa plemię
Wieszczkami w Delos z bogiem złączeni!
Straszny Acheront rozkrywa dno,
Witajcie świata półbogi!
W hełmach, koturnach, ludzie z żelaza!
O ludzie z bronzu, ach i to mało,
Ludzie z pierwiastku czystego — z złota!...

(przerzuca kartki)

To Skandynawia, kraina lodów,
Kędy szturmuje morze północne,
I tworzy godnych współzawodników
Krew z czaszek swoich wrogów pijących.

A to Hebreje! ach odetchnąłem....

. . . .

Hej wy obłędni bogowie ludów!
Zbliżcie się do mnie przez piaski pustyń,
Z lasów Odyna i z lodowatych
Gór Skandynawii! z swemi ofiary
Zbliżcie się do mnie skrwawione mary!
Ach otoż idzie Tor i swym młotem
Skały rozbija, dęby druzgoce;
Tu smok indyjski i milion dziewic
W wieńcach jako szły niegdyś na ołtarz
Krwią obluzgany! Bogi nikczemne!
I wy co przez nich i pod ich maską
Biliście ludzi — depcę wam głowy!
I w proch rozbijam — a to ktoż taki?
Czuję, że mógłby on we mnie rządzić,
Lecz moja duma jak jego miłość....
Ach duszno, ciężko, okno otwórzmy! —

(otwiera okno — błyskawica w tej chwili pada mu na twarz).

Witaj!

(przechadza się po izbie, potem wskazując ręką na xiążki:)

Rozum w poczęciu, błąd w wykonaniu,
Otoż i sekret wiecznej zagadki!
Co w filozofii usiłowaniu
A tej znów przeczą wszystkie wypadki.
O serce ludzi! — czemże jest serce?
Ciemną otchłanią, po której wierzchu
Płyną potwory złych namiętności;
Lecz kto się nie zląkł i w własnej głębi
Poważną myślą długo nurkował,
Ten wyniósł na świat perłę miłości.

Coż kiedy oni tak się lękają
Otchłani własnej, jakby dna piekła,
I tylko wędki w siebie rzucają,
I wędka nieraz — *(z uśmiechem)* żabę wywlekła.

(Burza od niejakiego czasu, wicher szumi po liściach drzew ogrodu).

(Słychać kołatanie do drzwi).

(Szekspir otwiera — wchodzi John).

SZEKSPIR.

Coż cię sprowadza w tak poźnej porze?
Północ i straszna burza na dworze,
Wicher wyrywa i łamie drzewa,
Po oknach leje się deszcz ulewny.
Orkan to jakiś na ziemię gniewny
Przyszedł ją chłostać. — Jakże się miewa
Biedna Goneril?....

JOHN.

W tej chwili cicha
Powietrzem innej sfery oddycha,
Jeśli duch żyje, niestety panie
Już się przeniosła w inne mieszkanie.

SZEKSPIR.

Jakto, umarła?....

JOHN.

Sam to widziałem....
Własnemi oczy na to patrzałem,
Zgasła i dziwna, gdy się skończyło
Jej biedne życie — że wyjaśniło
Się w tejże chwili nieba przestworze,
I xiężyc srebrny w błękitu morze
Wypłynął, smutnej prawdy odbicie,
Że w grobie chmura opuszcza życie.

(chwila milczenia)

Z myślą zwróconą zawsze w tę stronę,
Gdzie pierzchły skarby jej utracone,
Z pieśnią o Szkocii zgasła tak właśnie,
Jak kiedy dziecię w kołysce zaśnie. —
A ja.... nie pytaj, myślą zmartwiałą
Śledziłem życie jak uciekało,
Jak się powoli targał, rozrywał
Wiecznej zagadki węzeł, coż z tego?
Gdy nie dojrzałem widzisz niczego.
Bez nas poczęte, bez nas skończone,
Ktoż wie budowę? ten co budował,
A nasze chęci nieukrócone
Badają, co on sobie zachował!

SZEKSPIR.

W metafizykę i psychologią
I w anatomią wdajesz się widzę.
Wszystko to głupstwo, że się nie wstydzę
Tego powiedzieć, aż nadto wiele
Cierpim na świecie z sobą samemi,
Żeby się troszczyć co rządzi w ziemi.
Raczej żałować, niżeli badać
Było potrzeba takiej piękności,
Że świat ostatnią perłę postradał,
Którą ozdabiał chude swe kości,
I dziś już niema żadnej wartości. —

JOHN.

Od ciebież ja to słyszę te słowa?
Coś mnie na drogę tę naprowadził
Po jakiej idę? — któryś mnie zwadził
Z tą ziemią moją, z tym światem całym?
Ja co tak dawniej ludzi kochałem,
Patrząc przez twoje szkła — postradałem
Duszy spokojność i bez miłości
Wpadam w myślenia ostateczności.

SZEKSPIR.

Znać szkła za jasne na słabe oczy,
Światła zanadto w siebie skupiają,
I tym sposobem nie oświecają,
Lecz ociemniają biedne źrenice.
Byłożto moją winą chłopczyku,
Żem ci rozjaśnić pragnął ciemnicę?
Żem ci pokazał, iż na uboczy
Stoi zasadzka, gdy na koniku
Drewnianym niańka wozić przestała,
A jak masz chodzić nie pokazała.

JOHN.

Bogdajbym nie znał twojej mądrości,
I bił się w kole rzeczywistości,
I prawd tych doszedł przy schyłku życia,
A nie w młodości, w chwili rozkwicia. —

SZEKSPIR.

Mówisz jak dziecko, czym cię odwodził
Od wiary twojej? czym ci zagrodził
Drogę miłości? czym zgrzeszył mową?
Powiedz choć jedno podobne słowo!

JOHN.

Nie! tyś mi nie wziął mojej miłości,
Lecz dał spojrzenie rzeczywistości,
Śród której gasną wszystkie miłości.
Patrząc na ciebie, tobą się stałem,
I otoż skutek! biedne me serce

Piekło spaliło — świat mi poczerniał
Z tego szyderstwa i jestem próżen,
I wołam jaki cel mego bytu?
Skutkiem to broni jakiej użyłem,
Aby poprawić ten świat zepsuty;
A kiedym sobie zadał pytanie,
Czem jest to życie? rozum liczebnik
Z gry jaką wiodłem dał mi wypadek,
Jaki w rachunkach znajdują? — *zero!*
Otoż fatalna rzeczywistości,
Cożeś zrobiła z mojego serca?
Przestałem szydzić z ludzi nikczemnych
I obróciłem myśl na stworzenie,
A że tosamo było twierdzenie,
Więc i ten sam się znalazł wypadek.
Oddaj mi moję miłość Wiliamie,
Oddaj mi dawny ideał mój!

SZEKSPIR.

Tyś swój ideał powiadasz stracił,
I stratę drogo łzami opłacił?
Żal mi cię panie! — lecz powiedz proszę,
Jakiej natury? jakieś go roił?
Jakim napojem wtedyś się poił?
Bo z tego co mi mówiłeś wnoszę,
Że go nie znałeś — no powiedz, proszę?

JOHN.

Ach ja snowałem cudne marzenie,
Sławy, roskoszy czarowne śnienie,
To pasmo złotej wysnułem przędzy,
Oddaj mi, oddaj przeszłość coprędzej.

SZEKSPIR.

Ha! śmiechu godne takie żądanie,
O swej przeszłości posłuchaj panie:
Byłeś zaledwie w marzeń przedsionku,
Wszystko ci bracie ogólnie grało,
Lecz się w figurach nie rysowało.
Chciałeś jak orzeł latać skowronku!
Ale ci skrzydeł i sił nie stało...

Ja także śniłem, tak bardzo mało,
Ażeby słońce przy mnie ściemniało
I by krwi krople wszystkie tętniały
Muzyką mojej wieczystej chwały!
A za co chwała? — zgadnijże panie!
Albo ci ulżyć wolę mozolność:
Za małe słówko! — wielkie pytanie
Ale odpowiedź tak łatwa.......

Ja także śniłem, ale kobietę,
Przy której róże śniegiem okryte,
Przy której śniegi czarne się zdały,
Dla której byłbym wyrzekł się chwały,
Jeśli jest niebo, zrzekłbym się nieba,
A jeśli za to piekło znieść trzeba,
To za jej uśmiech, za jej spojrzenie
Oddałbym łaskę i przebaczenie.
I utraciłem te wszystkie mary
I jak zwierz milcząc ciągnę ciężary.
Gdybyś powiedział: stało się ciemno,
Słońce i gwiazdy zgasły nademną,
I świat umierał, i w tejże chwili,
Gdy wszyscy w strasznej nocy błądzili,
Wichrem pędzony przez czarność świata,
Widzę kochanki duch, jak ulata
Świetlny, z niebieską gwiazdą nad czołem,
Z żalu płaczący nad łez padołem...
I że zostałeś znów sam w ciemności.
Gdy zgasł ostatni połysk piękności....
Gdybyś powiedział, że w tym chaosie,
Gdzie każdy o swym pomyślał losie,
Straciłeś wiarę i skamieniałeś,
A mimo tego nie upadałeś,
Jak herkulańskie posągi stały,
Pokąd pioruny je nie strzaskały...
Gdybyś tak mówił, tobym ci wierzył,
Żeś swój cudowny ideał przeżył;
Lecz gdy jak widzę tego nie było,
To mała szkoda, co się straciło!....
Nabędziesz znowu — cicho pieszczochu!
Możesz się otrząść z tego popłochu.

JOHN.

Drwisz z mej boleści, że mnie pożera
Straszna gorączka, gdy się wydziera
Duch z piekła życia,.... że żąda siły,
Którejby burze nie zwyciężyły,....
Pragnie podstawy do działań stałych,
Że na twej drodze widzeń zuchwałych
Nie chce się ostać,.... że go pochłania
Paszcza ognista — i że się wzbrania
Widząc jak straszna wieje otchłania....

SZEKSPIR.

Jestże to krzywda, jestże to strata,
Żeś prawdę ujrzał na przyszłe lata?

JOHN.

O ty już nie masz serca dla ludzi!

SZEKSPIR.

Nazbyt nikczemni, abym ich kochał.

JOHN.

Żadnej wyższości ty nie oceniasz!

SZEKSPIR.

Bo wszelka wyższość tylko pozorna,
A rzeczywiście wszystko to głupstwo.

JOHN.

Ty i litości nie znasz uczucia?

SZEKSPIR.

Dla tej nicości to już w tej chwili
Nie mam miłości, ani litości,
Ani pogardy; ich nieprawości
Wzbiły mnie w górę, że już nie widzę
Jak tylko czarne chmury i błoto.
Strząsnął się widzisz lew skaleczony,
I z łap kosmatych puszcza pazury,
I szuka wrogów;.... lecz gdzież jest który,
Komuby warto zagłębić szpony?
Wyrwać, rozdrapać dymiące trzewa?
Psy tylko chodzą.... więc lew poziewa.

(W tej chwili wichrem z gniazda zrzucony ptak wpada przez okno otwarte i rozbiwszy piersi, kona u nóg Szekspira, który podejmuje go i rzuca w ogień na kominku palący się).

(do Johna)

Patrz po co do mnie przyszedłeś Johnie.

JOHN.

Jakiż jest bytu naszego cel?

SZEKSPIR.

Słuchaj! przy szumie tej strasznej burzy,
Zanim się dniowa gwiazda wynurzy,
Opowiemć bytu naszego cel.
Lecz pierwej jeszcze zapytam ciebie,
Co ziemia niesie z sobą w wieczności,
Koło fatalne, szumiąc w obrócie?
I co ukaże po zgonie ludów,
Kiedy trzy słońca spojrzą na ziemię,
Jak my patrzymy dzisiaj na xiężyc?

JOHN.

Pagórki grobów.

SZEKSPIR.

Przeciwnie.
Groby to ziemia, a więc nie groby,
Tak się złączymy z matką wszech rzeczy,
Żeby nas z tego poznać nie mogli.
Oto ci powiem — gruzy kościołów,
Krzyże Golgoty i tortur pruchno!
Na to pracujem i to zostanie,
Jako świadectwo naszego bytu!

JOHN.

A praca dobrych gdzież się podzieje?

SZEKSPIR.

Mówisz o duchu?.... w wiatr się rozwieje,
A krzyże Golgoty powiedzą milcząc:
Był tu, albowiem nasby nie było.
To jest szkaradne i razem śmieszne.

(Burza wzmaga się, błyskawice co chwila oświecają izbę).

GŁOS *zza okna zpomiędzy drzew ogrodu.*

Wiliamie!

SZEKSPIR.

Ktoż to mnie woła?

(Głos powtarza się).

(Grzmot silny z poświstem wichru — lampa gaśnie).

GŁOS *z ogrodu.*

Żeś nie dowiódł tej miłości,
Co ma rządzić w dniach wieczności,
Bądź przeklęty! ciebie klnę!
Czem gardziłeś, z tem się bij,
Kiedy umrzesz, zrodzisz się,
Po raz pierwszy klnę cię — żyj!
Że zwątpiłeś o walczących
O zwycięstwie dusz cierpiących,
Jak Bóg pewnem, ciebie klnę!
Abyś poznał jak ma być,
Kiedy umrzesz, zrodzisz się,
Po raz drugi musisz żyć!

Żeś znieważył prawo świata,
Żeś nie uznał w bracie brata,
Bądź przeklęty! ciebie klnę!
Biada ci! nieszczęsny drżyj!
Piekło świata ujrzy cię!
Po raz trzeci klnę cię — żyj!

(Przy połysku piorunu widać Szekspira z osłupionym wzrokiem. — John wybiega z izby). T. L.

XIĘŻNICZKA MERY.

(Ciąg dalszy.)

29. maja.

Około godziny dziewiątej zgromadzenie balowe było już w komplecie. Xiężna i jej córka ukazały się najpoźniej. Uważałem, że niektóre damy spoglądały na ostatnią zawistnie i nieprzyjacielsko, szeptając złośliwie jedna do drugiej, bo ubiór xiężniczki był jak zawsze gustowny, a tą razą ćmił

inne elegancią i smakownym wytworem. Te panie, które uważały siebie za primadony miasteczka, ukrywając pod układną minką swą zawiść, zbliżyły się do nich formując osobne kółko. Jakby tu temu odłączaniu się zaradzić? Sprawa trudna, bardzo trudna!.... Wszędzie, gdziekolwiek zgromadzą się kobiety, tworzą się natychmiast koterijne oddzielne kółka, dzieląc towarzystwo zebrane na wspólną zabawę, na towarzystwo niższe i wyższe; — nie wed ug osobistych zasług, lecz według stopni i znaczenia. Ach! u nas i mężczyźni to potrafią.... Grusznicz, w wyłączającej go od raju kapocie, stał o party o szklanne drzwi salonu, z poza których śledził najmniejsze ruchy swojej bogini Ona przechodząc tamtędy, dość widocznie skinęła głową, dając mu znak, że go widzi. Rozpoczęto tańce polonezem, po którym nastąpił walc. Ostrogi brzękły, poły u sukień i szerokie wolanty uniosły się w powietrzu, wszystko poczęło krążyć wirem w takt wybornej muzyki wojskowej, która przygrywała Straussa.

Stałem właśnie za pewną, niezmiernej otyłości damą, odsapującą po walcu tak potężnie, że las piór różowych przy jej berecie wstrząsał się niby wichrem miotany i służył mi wybornie za wachlarz. Zanadto modna obszerność jej fałdzistej cytrynowej sukni przeniosła mię myślą w czasy robronów i rogówek, a dziwaczne arabeski z plam czarnych na jej chropawej skórze, w szczęśliwą epokę, w której dla wdzięku oblepiano się muszkami. Najszersza czarna plamka, jaką miała na szyi, pokryta była dużem spięciem z błyszczących kamieni.

— »Ta xiężniczka Sigowska« ozwała się tłusta dama, skoro odsapnąć mogła, do swojego dansera chudego i długiego kapitana od dragonów »jestto nieznośna imościanka. Wystaw sobie pan, że właśnie przechodząc koło mnie potrąciła mię, i zamiast coby miała mię przeprosić, zwróciła głowę i zaczęła przypatrywać mi się przez lornetkę. Ciekawam z czego ona ma być dumną? godziłoby się doprawdy dać jej nauczkę....«

— »O! jeżeli tylko o to chodzi....« odrzekł usłużny dragon i w tejże chwili wyszedł.

Zbliżyłem się do xiężniczki i wezwałem ją do tańca, korzystając tym sposobem ze swobody zwyczajów miejscowych, które pozwalają angażować do tańca kobietę nawet wcale nam nieznaną.

Z trudnością przyszło młodej xiężniczce ukryć uśmiech tryumfu; lecz przybierając natychmiast ton obojętny, a nawet surowy, niedbale spuściła dłoń swoję na me ramię, pochyliła nieco głowę i puściliśmy się w wir walcowy. Nie zdarzyło mi się obejmować kibici roskoszniejszej i elastyczniejszej. Jej oddech świeży i wonny owiewał twarz moję; czasem kędzior jasnych jej włosów, oddzielony od tłumu towarzyszy, dotknął w polocie rozpłomienionych policzek moich. Tańcuje ona niebiańsko, lecz tylko parę razy obiegliśmy koło, gdyż za chwilę straciła oddech, oczy jej zamgliły się i zaledwo miała dość siły, aby mi powiedzieć bardzo stłumionym głosem niezbędne »d z i ę k u j ę p a n u!«

Po chwili milczenia przemówiłem do niej tonem uległym:

— »Mówiono mi, xiężniczko, że chociaż nie dostąpiłem szczęścia być znanym pani, miałem już nieszczęście niepodobania jej się.... że znalazłaś mię zuchwałym?....«

— »I pan bez wątpienia chcesz utwierdzić mię w tej chwili w opinii mojej....« odparła z miną ironiczną, która przystawała wybornie do jej ruchomej fizonomii.

— »Jeżeli miałem nieszczęście obrazić panią, chciejże dozwolić mi błagać o przebaczenie i nadzieję poprawienia mojego błędu.«

— »To panu z trudnością przyjdzie.«

— »Dla czegoż, jeżeli wolno zapytać?«

— »Ponieważ pan nie bywasz w domu mojej matki, a te bale bez wątpienia nie często odnawiać się będą.«

To ma znaczyć, że wrota przebaczenia na zawsze dla mnie zamknięte.

— »Lecz czy wiesz xiężniczko« ciągnąłem dalej z pewnem rozjątrzeniem w głosie »że nie należy nigdy odpychać chcącego poprawić się grzesznika: rospacz może uczynić go jeszcze występniejszym, a wtedy....«

Te słowa przerwane zostały hałaśliwą rozmową i wybuchami głośnego śmiechu osób, które za nami stały. Zwróciłem głowę i ujrzałem o parę kroków od nas grupę mężczyzn, a wpośród nich kapitana owego od dragonów, który w podsłuchanej rozmowie z tłustą damą, objawił chęci nieprzyjaźne dla spokojności pięknej xiężniczki. Wydawał on się nadzwyczaj ucieszony, zacierał sobie ręce i zamieniał z towarzyszami swoimi znaki porozumienia, które dobrze uważałem. W tem wysuwa się spośród nich jakiś jegomość w granatowym fraku, z łokciowemi wąsami i czerwoną twarzą, który niepewne swe kroki kieruje, zataczając się co chwila, wprost ku xiężniczce; był on pijany jak sztok. Zatrzymawszy się naprzeciwko niej z zagiętemi w tył rękoma, począł wpatrywać się w nią jak w tęczę

z miną gapiowatą, i kiwając się, głosem ochrypłego basu przemówił do niej:

— »Pozwoli.... no, i cóż?.... cóżto się pani stało?.... Ja proszę do mazura.«

— »O czem to pan mówiłeś?« wyjękła xiężniczka drząca i zmieszana, rzucając wokoło siebie błagalne spojrzenia. Jej matka siedziała gdzieś daleko; nie było wkoło niej żadnego z jej znajomych, prócz jednego adjutanta, o którym wyżej nadmieniłem; widział on wszystko, jak mi się zdaje, lecz w tejże chwili zniknął w tłumie, aby nie być wmieszanym do tej sprawy.

— »No, i cóż?« powtórzył jegomość pijany, dając znaki na migi kapitanowi, który zachęcał go spojrzeniami »czy pani niema ochoty tańcować ze mną.... to mi wszystko jedno, mam honor wezwać ją powtórnie do mazurka.... Może pani sądzisz, że piłem za wiele? to nic nie szkodzi.... Jestem i tak dość żwawy, daję pani słowo honoru.«

Xiężniczka była bliska omdlenia z trwogi i oburzenia. Zbliżyłem się do pijanego jegomości, ująłem go dość silnie za ramię, i patrząc mu wzręcz w oczy, powiedziałem mu głośno i dobitnie, że xiężniczka oddawna przyrzekła mi, że ze mną tego mazurka tańcować będzie.

— »Na honor, niema tu co robić« zawołał czerwony jegomość śmiejąc się i wracając jak niepyszny do swych towarzyszy, którzy zawstydzeni wytransportowali go do przyległego salonu.

Wynadgrodzony zostałem spojrzeniem głębokiem, niebiańskiem.

Xiężniczka odszukawszy swą matkę, opowiedziała jej wszystko; ta zaś zadała sobie trud poszukania mię w tłumie, aby mi podziękować i powiedzieć, że znała moję matkę, i że połączona była ścisłemi węzłami przyjaźni z pół tuzinem moich ciotek i kuzynek.

— »Nie wiem jakim to się dzieje sposobem, że dotąd nie znam pana« dodała »ale to wina jego, jesteś pan zanadto dzikim. Mam nadzieję, że *aura* mojego salonu rozproszy ten *spleen*. Nieprawdaż?...«

Odpowiedziałem jej jednym z tych powszednich frazesów, któremi człowiek uczciwy i znający świat powinien być zaopatrzony na podobną okoliczność.

Nudne kadryle francuskie — nieznośna świeżo-zaprowadzona moda — okropnie długo się ciągnęły.

Nareszcie muzyka zagrała skocznego mazurka, ująłem za rękę młodą xiężniczkę i stanęliśmy do koła. Strzegłem się uczynić najlekszą wzmiankę o pijanym jegomości, o mojem postąpieniu przed chwilą, lub o Gruszniczu. Wrażenie z odbytej sceny zacierało się powoli w jej umyśle. Fizionomia jej odzyskała swą pogodę; jej żarciki były pełne wdzięku, jej rozmowa dowcipna i ożywiona, spostrzeżenia jej czasem bardzo głębokie; a to wszystko bez przygotowań, bez żadnego przymusu, bez cieniu przesady.... Dałem jej poznać nieznacznie, w stylu dość zagmatwanym, że podobała mi się już od dawna. Schyliła głowę i zarumieniła się z lekka.

— »Pan jesteś szczególniejszym człowiekiem« przemówiła nakoniec, podnosząc na mnie swoje czarne »a x a m i t n e o c z y«, i uśmiechając się z miną zadumaną.

— »Nie chciałem zbliżać się do pani« rzekłem »ponieważ otoczoną jesteś zbyt wielką liczbą wielbicieli, lękałem się zginąć zaćmiony w tym tłumie.«

— »O, nie masz się pan czego lękać, zaręczam, gdyż oni wszyscy są nieznośnie nudni.«

— »Wszyscy, czy doprawdy wszyscy?«

Spojrzała na mnie bystro, jakby usiłując coś sobie przypomnieć, zarumieniła się znowu i wymówiła tonem stanowczym:

— »Wszyscy!«

— »Nawet mój przyjaciel Grusznicz?«

— »To on jest przyjacielem pana?« zapytała z niejakiem niedowierzaniem.

— »Tak pani.«

— »Nie jest on bez wątpienia z rzędu nudziarzy, ale...«

— »Ale z rzędu nieszczęśliwych« dokończyłem uśmiechając się.

— »To, to prawda... Ale panu ta okoliczność wydaje się śmieszną. Otoż życzyłabym, abyś pan był na jego miejscu....

— »A ja zaręczam pani, że z prawdziwą przyjemnością przypominam sobie ten czas, w którym cieszyło mię to, że zostałem kadetem, nawet tę epokę uważałem za najszczęśliwszą w życiu mojem.«

— »To on jest kadetem?« wymówiła nagle, po chwili dodała: »A ja sądziłam...«

— »O czem to pani sądziła?«

— »Nic, nic.... Kto to jest ta dama w różowym berecie?«

Rozmowa nasza inny obrót wzięła i nie powróciła już do Gruszniczа.

Po skończonym mazurku rozstaliśmy się w nadziei rychłego zobaczenia. Rozjechały się damy, a ja poszedłem na kolacią, gdzie spotkałem Wernera.

— »Ach! Ach!« wykrzyknął Mefistofiles, skoro mię zoczył »Otoż zdybuję przecie mojego pana! a nie chciałeś zaznajomić się z piękną xiężniczką inaczej, jak wybawiając ją od niechybnej śmierci....

— »Uczyniłem jeszcze lepiej, ochroniłem ją bowiem od zemdlenia na balu.«

— »Opowiedzże mi to wszystko.«

— »Zgadnij, wszak dla ciebie nic nie jest tajemnicą.«

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Kronika literacka.

Dziewica orleańska. Ustęp z dziejów Francii, opisał Karol Libelt. W Poznaniu 1847.

»W czasach niedołęstwa duchowego, co dziś tak powszechnie dawa poznaki niemocy« mówi autor w wstępie do swego dzieła »w czasach skeptycyzmu i zachwianej wiary w potęgę ducha, w czasach coraz bardziej szerzącego się przekonania o panowaniu brutalnej, materialnej siły, zdało się rzeczą stosowną przedstawić historią dziewicy orleańskiej, jako szczytny meteor wielkości dziejowej, tak jak ją już przedstawili ziomkom swoim, Michelet i Goerres, — jednym ku zasileniu, ku zawstydzeniu drugim.« — Temi słowy wytknął nam autor najwyraźniej stanowisko, z jakiego pracę jego sądzić należy. Nie jestto dzieło erudycii, ale dążności moralnej. Nie możemy mu więc za przywarę poczytać, że się po większej części opiera na dokonanych już badaniach dwoch obcych pisarzy, wyczerpujących prawie zupełnie swój przedmiot. Naszemu pisarzowi szło glównie o przewiedzenie wydobytej ztąd prawdy w przekonanie powszechne. Możnaby chyba wdać się w rozprawę, czy obrany przez autora ustęp dziejowy najlepiej z całego obszaru obcych i własnych dziejów, wyrzeczonemu powyżej zamiarowi autora odpowiada. Nie jestto bowiem jedyny ustęp tego rodzaju w dziejach. Każda, a w szczególności nasza historia, zawiera mnogie podobne widowiska nagłego odrodzenia się ciała i umysłu narodowego. Przypomnijmy sobie tylko wskrześnięcie Polski za Władysława Łokietka, i jeszcze wznioślejsze podźwignienie się narodu w czasie wojny szwedzkiej za Jana Kazimierza przez obronę Częstochowy i konfederacią tyszowiecką. Atoli nigdzie zaiste duch boży tak bezpośrednio, tak małą masą materij, bo wyłącznie prawie jedną tylko osobą, jedną słabą, gminną dziewczyną, tak ogromnego nie zdziałał skutku, tak srogiej chłosty owemu krótkowidzącemu, tylko w obecną chwilę wierzącemu »przekonaniu o wszechwładztwie brutalnej, materialnej siły«, jak właśnie w dziejach Francii za czasów dziewczyny z *Dom-Remy*. W istocie cóż cudowniejszego nad ten ustęp historii? Cudzoziemiec na tronie Francii — prawy dziedzic korony wywłaszczony z ojczyzny, lekkomyślny — istny Stanisław August — zabawom, poezii, miłości, intrygom dworskim oddany, szlachta niezgodna między sobą, przeniewierca własnej przeszłości, po większej części z nieprzyjaciołmi kraju zbratana, cała Francia już tylko prowincią Anglii. W tem ze stanu, który najmniej na tem wszystkiem szkodował, z ludu, wychodzi dziewica orleańska, zbawienie, a w kilku latach nieprzyjaciel za morzem, kraj wolny, a w nagrodę za przeszłe cierpienia historyczne, prócz odzyskanej niepodległości, uzyskał naród po raz pierwszy wzbudzone pojęcie jednej ogólnej »ojczyzny.« Takito obraz maluje nam Libelt w najdrobniejszych szczegółach, ze wszystkiemi charakterystycznemi cechami czasu, z całą powagą i surowością swojego pióra, sprawiającego nam w tej mierze wrażenie dawnych rycerskich wizerunków. Stosownie zaś do swego zamiaru wpajania dziejowej prawdy w umysły, nie przestaje na samem malowaniu, lecz zastanawia ciągle uwagę, wykłada, uczy. Całe obszerne (419 str.) dzieło zawiera 5 rozdziałów, I. Wstęp, przedstawiający równoczesne sposoby zapatrywania się na historią dziewicy orleańskiej i sposób widzenia autora. II. Położenie Francii przed ukazaniem się dziewicy orleańskiej. III. Dziewica z *Dom-Remy*. IV. Proces i śmierć dziewicy orleańskiej. V. Ostateczne wyswobodzenie Francii i przywrócenie do czci dziewicy orleańskiej.

Kronika muzyczna.

Czas koncertowy jeszcze nie rozpoczął się u nas, a czy tego roku będzie tak świetny jak przeszłoroczny, wątpimy. Jedynie towarzystwo muzyczne odbywa regularnie swoje periodyczne koncerta, które ograniczają się na szczuplejszem gronie, należącem po większej części do bliższych znajomości lub rodzin uczniów i uczennic towarzystwa i koncertujących. Ależ i ze strony powszechności polskiej jest wielka obojętność nawet w rzeczach, które bliżej obchodzić ją powinny. Przeszłego czwartku występował z koncertem młody czternastoletni skrzypek, Mieczysław Starzewski; Stany galicyjskie przed kilku laty wcześnie objawiającemu się talentowi muzycznemu idąc w pomoc, wyznaczyły mu *stipendium* dla dalszego kształcenia się. Wyjechał do Wiednia i pod przewodnictwem Mejsedera kształcił się przez lat trzy. Zdawało się, iż powszechność będzie ciekawa, na jakim też stopniu stanął utalentowany

młodzieniec. Tymczasem niewiele udziału u własnych ziomków zyskał. Koncert był nieliczny, a szkoda; bo można było z okazaniem współczucia z zapałem swej sztuce poświęcającemu się młodzieńcowi, połączyć i przyjemność własną. Wszyscy obecni z zadowoleniem opuszczali salę, uznając pewność i czystość tonów, świadomość siebie zupełną młodego artysty podczas gry, co w sztuce rozwagą artystowską się zowie, a niezawodną jest cechą wyższego talentu.

TEATR.

Oddawna nie donosiliśmy nic o teatrze polskim, boć same tylko smutne wieści z tej strony donosićby trzeba. Towarzystwo artystów dotąd nie jest uzupełnione, a wszelkie wołania i narzekania ustne i po pismach czasowych są głosem o głuche odbijającym się ściany. Na całym świecie tak się dzieje, iż dyrekcie teatru wybadywują zawsze chęci i żądania powszechności teatralnej, aby módz uprzedzić i zadowolnić ją. Tym sposobem pozyskiwują sobie przychylność publiczności i zwabiają do teatru licznych widzów, biorących udział w ten sposób w sprawie teatralnej. I rzecz to jest rozsądna i godziwa. Boć teatr nie istnieje dla dyrekcii, lecz dyrekcia i teatr istnieją dla powszechności narodowej; do niej więc stosować się winny. U nas tylko rzecz się ma inaczej. O zdanie i chęci uczęszczających do teatru nikt się nie pyta. Wszędzie dyrekcie przyjmują artystów lub usuwają wedle tego, jak publiczności się podobają lub nie U nas nikt się nie spyta jaki jest glos powszechny, jaka opinia. Ten lub ów artysta mnie się nie podoba, a więc usunąć go. Ten lub ów artysta przypadł mi do smaku, a więc przyjąć go do składu teatru. Niech tam glos powszechny protestuje jak najwyraźniej przeciw takiemu postępowaniu, dyrekcia na wszystko obojętna. I dziwże się teraz, że teatr upada, że publiczność zrażana ciągle, nie uczęszcza do teatru. Najgorsza, że niema nawet widoku, aby się ten stosunek pole pszył! Obecnie doszło do tego stopnia, że i podczas przedstawienia najlepszych sztuk teatr jest próżny, bo uprzedzenia raz powzięte, wszystkich wstrzymują w domu.

Rozmaitość.

Orzechowski Stanisław w życiu hetmana Tarnowskiego tak mówi: »Szlachectwo jest jako piwna wiecha, albo wieniec winny. Herby wasze są znaki szlachectwa, a nie szlachectwo. A jako gdy piwo kwaśnieje, wiechy mądrzy zmiatają, tak też i ty zrzuć herb, gdy się szlachectwo twoje złotrzyło. Nie chlub się zacnością przodków twoich, ku hańbie twej ich wspominasz, a tem znaczniejsza niecnota twoja jest, im przodkowie twoi byli cnotliwsi.«

Od wydawcy.

Gdy dziennik mód wychodzi co dwa tygodnie, więc bardzo szczupły ma zakres, i w żadnym z przyjętych w nim oddziałów literackich rozwinąć się nie może. Wydawca przeto postarał się u Wysokiego Rządu o pozwolenie wydawania dziennika co tydzień. Od pierwszego więc stycznia roku następującego zacznie dziennik mód wychodzić już nie co drugi czwartek, lecz każdego czwartku numer jeden. Format i objętość pozostaną też same co teraz. Również do każdego numeru będą dodawane ryciny mód, dla krawców męskich kroje sukień, a w pewnych przerwach kroje sukień damskich i wzory rozmaitych robot. Pomimo że przez rok dwa razy tyle i takichże samych wyjdzie co dotąd numerów, wydawca ceny prenumeraty nie podwyższa, w nadziei, że przez rozszerzenie zakresu i podniesienie wewnętrznej wartości dziennika, powiększy się i liczba prenumerantów. Życzliwych i z zasadami, które tem pismem kierują, zgadzających się, uprasza wydawca, aby raczyli przyczynić się do rozszerzenia koła czytelników dziennika. Wydawca z swej strony dołoży wszelkiego starania, aby ile możności odpowiedzieć wszelkim wymaganiom, jakie do pisma podobnego mieć można.

W prowincii naszej najlepiej składać prenumeratę w głównym urzędzie pocztowym we Lwowie, lub w kantorze redakcii pod nrm 301. naprzeciw hotelu rosyjskiego. W tych obu tylko razach redakcia ręczy za regularną przesyłkę pod danemi adresami w opieczętowanych kopertach. Mieszkający na prowincii mogą pod adresem redakcii lub głównego urzędu pocztowego przesyłać pocztą należytość prenumeraty.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.